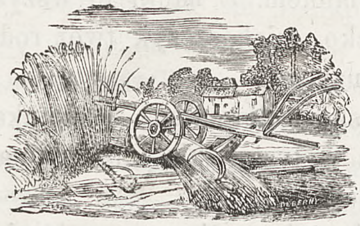
Tom II. 1. Sierpnia 1870. Nr. 4.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1., 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w a.



DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Chleb ma rogi.

II.

Walek gdyby mógł byłby się pod ziemię schował, bo czuł że jeżeli czytaniu niewiele się naprzykrzał, to i pracą bardzo zabawiać się nie lubił. Nic więc na zapytanie stryja nie odrzekł, a gdy ten załatwiwszy się z interesem odszedł Walek odezwał się po chwili:

— Nie wiem zkąd stryjowi zawsze tylko w ustach czytanie i czytanie? Żeby nie wiem w jakiej gadce, oni zawsze na czytaniu skończą. Pewnikiem wszystko to wychodzi z pana Jacyny, co się z sobą przyjaźnią od młodości. Szlachcic ten książki nigdy z garści nie wypuszcza, to też wyłysiał jak kolano, a i stryjowi już dobrze przegląda. Gdyby każdy tylko książką się zaprzątał, to ktoby na chléb pracował?

— Ej! moje dziecko, odezwała się matka, Bogiem a prawdą, to można wszystko tak mądrze rozporządzić, że przez książkę nie stanie się pracy krzywda. Stryj lubi książkę a i w pracy się nie leni: ojciec nieboszczyk zawsze mówił, że nauka to największa moc na świecie..:

— A tak, przerwał Walek, bo jak mnie przynaglili do książki, to pamiętacie żem aż febry dostał.

— To nie z nauki tylko zobjedzenia niedojrzałych gruszek..

— Ale, zapewne! Gruszki miałyby taką moc, coby mi tłukły zębami jak młotem. Z nauki to wszystko, z nauki.

— Moje dziecko, nieboszczyk twój rodzic na śmiertelnem łożu wspomniał o nauce...

— A czy Boskie skaranie z tą nauką, przerwał Walek czy chcecie żebym wyłysiał jak pan Jacyna...?

— A niech Bóg broni!

— Czy chcecie żebym się przygarbił jak nasz proboszcz?

— A nie dopuść tego Matko Boża!

— Czy pragniecie żebym oślepł jak dziad pod kościołem?

— A święta moja patronko miejże nas w swojej opiece!

— Więc mnie nie namawiajcie do tego co nie zgadza się z moją naturą. Z samego tego rozmowienia jakoś ckliwo mi się zrobiło, i gdybyście mieli na dorędziu chleb i niesolone masło, tobym przetarł gardło z goryczy.

— Matka poskoczyła raźno, lekarstwo postawiła na stole przydając do niego kawałek wędzonej kiełbasy, i Walek pożywiwszy się niezgorzej, widząc że brzuch doszedł do swojej miary, rzekł:

— Żebyście dali mi mleka, tobym może i wygarnął jaką miseczkę.

Znalazło się i mleko, a matka patrząc jak syn zajada i zapija, rzekła sama w sobie: wyraźnie siedzi w nim jakieś zatajone choróbsko, bo o tej porze nie zwykł się pożywiać. O książce już mu i słowa nie natrącę.

W kościele uklękła po kobiecej stronie. Walek wcisnął się do ławek pomiędzy poważnych gospodarzy. Zrazu modlił się z książki, szeptał, przewracał kartki, czasami zerknął okiem po dziewuchach co niby wieniec z kwiatów otoczyły stopnie wielkiego ołtarza, aż wreszcie zaczęły mu powieki opadać, przymykać się, głowa obwisła i Waluś usnął lepiej jak na posłaniu. Kiedy kapłan wszedł na ambonę dla wygłoszenia Boskiej nauki, ocknął się, powstał z drugiemi i znowu zadrzemnął. Że jednak w tem drzemaniu zatoczył się i stuknął nie żartem głową w skroń swego sąsiada, ten go odepchnął z gniewem, Walek położył się na drugą stronę i byłby tak z pewnością chwiał się niby serce w dzwonie, ale na szczęście oprzytomniał i zawołał wielkim głosem:

— A wy co robiła? Czyśta poszaleli czy co?

Wszystkie oczy zwróciły się ku Walkowi, ale ten rozmarzony nie dał na to baczenia i zasiadłszy na nowo w ławce, usnął wkrótce bez najmniejszej już przeszkody. Podczas nauki kapłan mówił bardzo pięknie o obowiązkach każdego a szczególniej o obowiązkach obywateli kraju, którzy powinni wszelkich sił dokładać, aby zubożała nasza Polska mogła zakwitnąć nieznaną jej dotąd pomyślnością, do czego jedynie dojść można przy pomocy pracy i nauki.

— Wielu z pomiędzy was, mówił szanowny kapłan, stara się obowiązki te wypełniać jak najlepiej o ile to potrafi. Takim cześć i błogosławieństwo: mrówki malutkie a jednak tak wielkie wznoszą mrowiska. Więc i wasza praca usilna i poczciwe życie, choć na pozór mało znaczące, zebrane w jedne jakby wiąż we wszystkich stronach naszej Polski, zleją się do jednej skarbnicy która się zowie pomyślnością wszystkich. Ale czy wszyscy tak postępują? Oj! nie wszyscy mili bracia, i podobno większość inaczej swój żywot trawi. Kiedy się im nie schlebia, to uważają to za nieprzyjaźń, kiedy się ich gani za próżniactwo i różne zdrożności, to także nieprzychylność, kiedy się ich namawia do czytania i nauki, to niepotrzebne wymysły, kiedy się im słowo Boże głosi i poczciwą daje naukę to oni...

Kapłan nagle przerwał, bo jakby na dokończenie słów jego, z ławki w której siedział Walek, dało się słyszeć głośne chrapanie hrrum hrrum jakby kto tępą piłą powyszczerbianą piłował drzewo. Sąsiad szturchnął w bok Walka, ludzie spojrzeli i gdyby nie poszanowanie dla przybytku Bożego, byliby się w głos rozśmieli; kapłan zobaczywszy że spokojność wróciła dokończył:

To oni mili bracia albo na to nie zważają albo spią w najlepsze przeszkadzając chrapaniem do uwagi drugich. I jakże w takiem niedbalstwie, w takiem opuszczeniu, ma nam Bóg błogosławić? Co upadnie samo się podnieść musi i jak człowiek zdrów i silny gdy leżąc na sieni wzywa pomocy aby go podniesiono, obudza dla siebie pośmiewisko a nie współczucie: tak samo i cała społeczność ugrzązłszy jak w bagnie w biedzie i ciemnocie musi własnem staraniem dźwignąć się z niedoli bo inaczej zginie ze szczętem a świat

rozśmieje się szyderczo i powie: dobrze jej tak, poćóż była głupią i prożniaczą? Tak jak każdy za siebie jest odpowiedzialny przed Bogiem, tak samo i narody pokutują za swoje grzechy. Mamy ich co niemiara wszyscy bez wyłączenia, zarówno ubodzy jak bogaci, zarówno prostacy jak i wyższego stanu, krzepmy się więc wspólnie wszyscy, oświecajmy, doradzajmy, a przedewszystkiem żyjmy z sobą w zgodzie, miłości, wedle nauki naszego Zbawiciela, a nie w nienawiści, w zazdrości i w podszczuwaniu jeden na drugiego. Gdzie pokój, praca i nauka tam Bóg przemieszkuje, gdzie inaczej się dzieje tam szatan króluje; jakie zaś na świecie ma panować królewstwo czy Boże czy szatańskie, od nas samych mili bracia zależy. Z Bogiem więc złączcie się sercem i duszą, a płacz, ucisk, prześladowanie znika z naszej Polski.

Walek choć otrzeźwiony ze snu ale na naukę małe dawał baczenie, dusił tylko w sobie ziewanie, a gdy ludzie westchnęli nabożnie, westchnął i on nie wiedząc dla czego to robi. Po nabożeństwie matkę wyprawił do domu a sam poszedł do karczmy, żeby jak powiedział, naprawić żywota, bo po mleku jako mu burczało. W izbie zastał pełno ludzi: z głową zadartą jako odziany surdutem i z kołnierzykami po same uszy zawiązanemi grubą czarną chustką, przecisnął się do kraty i zawołał:

— Piwa, tylko dobrego.

— Zwyczajne troszkę przykwaśniało, odrzekła szynkarka, mam bawarskie ale tego butelka kosztuje złotówkę.

— Nie pytać o cenę tylko dawać. Jest u mnie w woreczku nie jedna złotówka, to nie braknie na zapłatę, odrzekł Walek i na dowód pokazał wydobyty z kieszeni woreczek. Po jednej stronie brzęczały w nim dziesiątki po drugiej ruble srebrne zebrane oszczędnością nieboszczyka ojca, dziś należące do rzadkości grubo opłaconej. Papierki to nasza moneta, to też wszystko u nas papierowe, nawet nasza dola.

Walek sakiewką brzęknął kilka razy, jakby chciał się pochwalić swojem państwem, i zapłaciwszy za piwo wychylił poteżną szklanicę, otarł usta, splunął i usiadł na ławce przy okratowaniu. Na przeciw niego po drugiej stronie, siedziało trzech nieznajomych mężczyzn pilne na Walka dających baczenie. Jak tylko zobaczyli jego przechwałki pieniężne szepnęli

coś między sobą i jeden ruszył pomiędzy ludzi zaczepiając pytaniem to tego to owego. Wreszcie jeden z zaczepionych spojrzał ku Wałkowi i rzekł:

To Walek Patyjak z Gazdowa; ojciec poczciwy i rozumny był człowiek, ale synuś ma pstro w głowie. Co stary zapracował to synuś roztrwoni a szkoda, bo tam sporo po starym pozostało grosza.

Nieznajomemu na wzmiankę o pieniądzach oczy zaiskrzyły się jak iskry i powróciwszy do swoich zaczął z nimi szeptać tajemniczo.

Wreszcie jeden z nich łysawy, z chytrym uśmiechem na twarzy, przybrany dosyć wytwornie z zegarkiem w kieszeni a papierosem w ustach, rzekł powstając:

— Na mnie to zdajcie, już ja się z nim wnet sprawię.

Potem podsunął się ku Walkowi, wycisnął ogień z papierosa i rozglądając się za zapałkami rzekł do niego:

— Przepraszam pana, ale prosiłbym o użyczenie mi ognia.

— Z miłą chęcią, odrzekł Walek wyjmując z ust palący się papieros i podając go nieznajomemu.

— Bardzo dziękuję, bardzo jestem wdzięczny, odezwał się nieznajomy ściskając Walka za rękę i kiedy już miał odejść, nagle zwrócił się ku niemu z zapytaniem:

— Czy pan czasem nie wychodzi z Patyjaków?

— A jużci Patyjakiem mnie zowią ..

— Znałem Jana Patyjaka z Gazdowa, i przyjaźniłem się z nim...

— To mój rodzic, w zeszłym roku pomarli...

— Umarł! zawołał z boleścią nieznajomy, ach! mój Boże, jakiż to poczciwy i rozumny był człowiek. Przyjaźniłem się z nim i nieraz kupowałem zboże do młyna jakiem go miał w tych stronach. Jakże mi żal straty takiego człowieka... przy tych słowach nieznajomy sięgnął ręką do oczów i mówił dalej głosem drżącym jakby z wielkiej żałości:

— Ale umarłego nie wskrzesi, a kiedy mi Bóg pozwolił spotkać się z jego synem Walentym...

— To pan wie jak mi imię?

— Ba! albo to raz z rodzicem o jego jedynaku rozprawialiśmy?

Otóż kiedyśmy się tak niespodzianie spotkali, to pozwól panie Walenty że cię przedstawię moim przyjaciołom. Wszystko to ludzie bogaci, jeden szuka jakiego folwarku do kupna, drugi chce w mieście dystylarnę założyć, a ja szukam dzierżawy młyna wodnego albo kupna całej młynarskiej osady.

Walusiowi poznajomienie się takie wielce przypadło do smaku. To już nie prostactwo, pomyślał sobie, ale ludzie z wyższego świata. Wyprostował się więc, poprawił włosów, wyciągnął kołnierzyki i śmiało ruszył za swoim przewodnikiem. Poznajomienie bardzo prędko nastąpiło, sciśnięto sobie ręce, wycałowano usta, a młynarz zawołał:

— Pani gospodyni, daj nam tu herbaty z arakiem, cztery szklanek, przecież taką znajomość musimy uczcić jak wypada. Przy herbatce szczególniej po drugiej szklance rozmowa poszła gładko. Młynarz i jego towarzysze byli to już nie młokosi, chleb jak to mówią nie z jednego pieca jedli, byli na wozie i pod wozem, więc do rozmowy nigdy wątku nie brakowało. Smiano się, żartowano, opowiadano rozmaite zabawne zdarzenia, a Walek słuchał, rósł jak na drożdżach i kładąc ręce w kieszenie z dumą przyglądał się zebranym w karczmie. Po czwartej szklance młynarz zapłacił, zawołał z początku: basta! teraz wracajmy do miasta, ale ciebie panie Walenty, synu mego przyjaciela, muszę uczcić na swojej kwaterze jak wypada. (D. c. n.)

Pątnicy.

„I po garści ziemi z ojczyzny zabrali“
W. P.

Różną życia skołatani dolą,
Raz pątnicy wyszli z polskiej ziemi,
Jedni z bolem, którym serca bolą,
Drudzy chcieli przed progi świętemi
Złożyć starość, grzechy; inni bielizny,
Inni ciężkie nieszczęścia ojczyzny.

Szli do Rzymu. Starzec przewodnikiem.
Białowłosy, z kresami na czole.

Był rycerzem niegdyś dziś pątnikiem,
Pomni przeszłość, w piersi zamknął ból.
Towarzyszów grono starca słucha,
Bo z ust jego płynie mądrość ducha.

Gdy im tęskno patrzą czy od wschodu
Ptak lecący wieści nie uczyni.
Tak zdążyli do wiecznego grodu, *)
Do wyniosłej Piotrowej świątyni **)
I padają krzyżem na marmury....
Lampa Piotra świeci na nich z góry

A w tem słyszą: naród sobie sławi
Pustelnika co w skale ma grotę: ***)
„Bóg zeń — mówią — ludziom błogosławi,
Grzesznym przezeń dawa moc i cnotę;
Kogo mąż ten relikwią obdarzy,
Tego szatan tknąć się nie poważy.“

Zapytali przechodniów o drogę;
Drogę oną każde dziecko znało.
Jakieś dziewczę z ulicy ubogie
Drobną ręką drogę im wskazało,
A ci rzekli: „Pójdziemy! niech mąż boży
Na strapione głowy dłoń nam złoży.“

Idą — ścieżka w skale wykowana,
W skale grota po za bluszczów cieniem.
Wyżej groty z kamienia krzyż Pana
Tkwi ozłocon zachodu promieniem,
Przez powietrze lecą ptacy – wonie,
W dali wieczne morze słońcem płonie.

A mąż boży szedłez dzbankiem wody,
Szedł ubogi jak pańscy prorocy.
Włos miał śrébrny, zapadłe jagody,
W oczach blaski nieśmiertelnej mocy;
Swiętych spokój płynął z jego czoła,
Gdzie skreśliła życie dłoń anioła.

---

*) Wieczny gród znaczy tyle co miasto Rzym, gdzie mieszka Ojciec święty.
**) Świątynia Piotrowa, to znaczy kościół, gdzie Ojciec święty, następca Apostoła Piotra nabożeństwo odprawia.
***) Grota tyle co jaskinia.

Więc stanęli pątnicy z daleka,
Ran mu własnych wskazywać nie śmieją,
Z każdej piersi drobny ból ucieka,
Wielkim bolem narodu boleją:
Dla ojczyzny złotej pragną doli! ....
On ze dzbankiem zbliżał się powoli.

„Zkąd wy bracia?“ — spytał — „z Polskiej ziemi“
-- „Z polskiej ziemi ludzie? znam jej błonia.
Czegoż chcecie?“ A starzec z białemi
Włosy rzecze: Polska we łzach tonie!“
— „We łzach tonie? czegoż jej potrzeba?“
Ci odrzekli razem: „Łaski nieba!“

„Ból przeżegnaj co nam serca pali,
Skute nasze przeżegnaj ramiona.
Daj relikwię nam dla naszej stali,
Bo się kruszy w górę podniesiona.
My twym darem lud obdzielim cały,
My nim ojców dobijem się chwały.“

— „Macież z sobą garść rodzinnej ziemi?“
Mąż ich boży spytał zadumany.
Białowłosy rękami drżącemi
Wnet mu bryłkę podaje z sukmany:
„Z sobą — rzecze — wzięliśmy po bryle,
By w obczyznie mieć ją na mogile.“

Mąż tę bryłkę wziął i ścisnął w dłoni,
Ścisnął, a krwi kropla na głaz scieka;
Nad krwią słychać jęk — w powietrzu dzwoni
Skarga duchów lecących z daleka —
A pątnicy klękają do koła,
I gdzie spadła krew, schylają czoła.

Więc mąż rzecze: „Czemuż was przestrasza
Ta krew ręką moją wyciśnięta?
Relikwiarzem cała ziemia wasza,
Krew relikwią, którą Bóg pamięta.
Idźcie z Bogiem! w miłującej dłoni
Ziemia wasza krew cudowną roni.“

A pątnicy wstają, wielbią Pana
Trzykroć: „Chwała!“ rozsyłają w echa.
Błogosławią ziemi co krwią zlana,
Błogosławią krwi, bo z niej pociecha
I wytrwałość.... A ty sprawisz Panie,
Narodowi z krwi tej zmartwychwstanie.

Król Kazimierz Wielki.

I.

Kiedy Kazimierz upewniał sobie wszelkiemi siłami pokój, Krzyżacy chytrze i przebiegle chodzili około sprawy. Papież Benedykt dał się namówić od Krzyżaków do zniesienia wydanego niedawno na nich wyroku i wyznaczył trzech delegatów: polskiego, papieskiego i Krzyżackiego, aby oni osądzili sprawę. Po umowach przyszło wreszcie w lipcu r. 1343 do ostatecznego ułożenia i spisania traktatu. Na miejsce zjazdu obrano Kalisz. Dnia 8 lipca podpisany był traktat kaliski, mocą którego ustępował Kazimierz Krzyżakom ziemię chełmińską i michałowską, oraz zamki w Nieszawie, Orłowie i Murzynowie wraz z przyległościami w xięstwie kujawskiem, Pomorze zaś nadawał Zakonowi jako lenno Polski, z którego mistrz wielki miał hołd składać królowi polskiemu; Krzyżacy zaś wracali Polsce Kujawy, Dobrzyń i powiat bydgoski, obowiązując się oraz wypłacić 10,000 grzywien tytułem korzyści z Dobrzynia i Kujaw. Zaprzysięgli ugodę król na koronę, a mistrz na swój krzyż zakonny i zakończył cały ten ceremonialny obrzęd wzajemnem ucałowaniem się, na znak wieczystej odtąd zgody i przyjaźni.

Wszelako pomimo wszelkich owych upewnień łatwo można było przewidzieć, że zgoda z Zakonem nie może być wieczystą. Polska nadto wiele traciła, aby się mogła wyrzec wszelkiej nadziei powetowania sobie kiedyś tych strat; Zakon też nadto był już rozpanoszonym, nadto chciwym zysków i coraz dalszej grabieży, aby pochłonąwszy Pomorze nie pokusił się w przyszłości i o inne ziemie. W chwili jednakże obecnej zdawały się obie strony zaspokojone zawartą ugodą.

Na dniu 22 listopada 1348 zawarł Kazimierz ugodę z cesarzem niemieckim, zjechali się obaj monarchowie w Namysłowie i zapominając wszelkich uraz, przyrzekli sobie stałą przyjaźń. Za owe kilkunastoletnie trudy, za owe przeciw woli narodu przyjmowane zrzeczenia się, na pozór lekkomyślne, przyszło teraz królowi zbierać obfite owoce, wetować rozleglejszymi nierównie nabytkami poniesione uszczerbki, cieszyć się niepospolitem znaczeniem u sąsiadów, widzieć państwo swoje coraz potężniejące i postawione w rzędzie pierwszych mocarstw europejskich, a w końcu w uwieńczenie wszystkich prac i dzieł swoich, ku wieczystej sławie imienia swego i nieporównanej z niczem korzyści ojczyzny, obdarzyć naród pierwszą xięgą praw i akademią krakowską.

W roku 1340 zginął od trucizny kniaź (książę) halicki Bolesław i nie zostawił po sobie żadnego potomstwa. Tatarzy i Litwini chcieli zagarnąć jego ziemie pod swoje panowanie. Ale Kazimierz miał najwięcej prawa do całej Rusi boć to i krewny książąt ruskich i od dawna już Ruś do Polski należała.

Równocześnie z wieścią o śmierci Bolesława pojawił się zagon tatarski u południowych granic Polski. Więc nawet dla samego zabespieczenia własnej zagrody trzeba było podjąć jaknajspieszniej zamierzoną na Ruś wyprawę. Jakoż z wiosną roku 1340 wyruszył sam król na czele silnego wojska i wkroczył w granice czerwonoruskich ziem. Zrazu postępowały hufce krajem gęsto dosyć zaludnionym i wsiami rozległemi nasiadłym. Bliskie sąsiedztwo Polski i Litwy osłaniało bowiem zachodniopółnocne okolice Rusi, nad Sanem, Bugiem i Styrem od łupieży tatarskiej, dozwalając im zasiedlać się i zagospodarowywać swobodniej. Ale im głębiej w kraj tem straszniejsze ślady zniszczenia, tem rozleglejsze pustkowia.

Król podstąpił aż pod Lwów, zajął go i do domu powrócił a rozbujałe w nierządzie długoletnim bojarstwo to z Tatarstwem, to z Węgrami w umowy wchodzić poczęło. Widział się więc Kazimierz zmuszonym w tymże samym roku drugą podjąć wyprawę, w której opanował Przemyśl, Sanok, Lubaczów, Halicz i Trębowlę i pogromiwszy w roku następnym Tatarów, którzy pod hanem Uzbekiem aż pod Lublin się zapędzili,

zdobycze swoje na Ruś ile tyle zapewnił. Pożną jesienią r. 1349 wyprawił się Kazimierz ze znacznem wojskiem poraz trzeci na Ruś Chodziło teraz przedwszystkiem o poskromienie Lubarta, który za czasów owych rządów bojarskich cały Wołyń był opanował. Nie otrzymawszy posiłków od swych braci kniaziów litewskich, nie mógł Lubart sprostać przeważnym Kazimierza siłom i ustępując z jednego grodu po drugim tylko przy Łucku się utrzymał. Niebawem był cały kraj od Sanu aż po górny bieg Styru w posiadaniu Polaków. Papież zawiadomiony o tem że król polski opanował tak rozległe ziemie iż na nich siedem biskupst i jedno arcybiskupstwo założyć będzie można (!), ale że tej zdobyczy grozi nieustanne niebespieczeństwo od Tatarów pozwolił Kazimierzowi przez lat cztery używać na wojnę z poganami dziesięciny ze wszystkich dochodów kościelnych. Zajęty organizacyą i ubezpieczeniem czerwonoruskich dzierżaw przebywał Kazimierz jeszcze w lecie roku następnego we Lwowie i dopiero jesienną porą do Krakowa powrócił. (D. c. n.)

Zniesienie.

Po nad małą rzeczką Pełtwą rozciągały się na lewo szerokie błonia zarośnięte krzakami i trawą. Miejscami błyszczała kałuża wody, miejscami wystawały niby kępy z bagna podniesione pagórki, przez niskie brzegi przelewała się rzeczka co wiosnę i tworzyła na rozległej przestrzeni jednostajne jeziora. Po prawej stronie nad Pełtwą usypany wał z ziemi, za nim gruby mur się rozciąga, miejscami opatrzony okrągłymi otworami, niby okienkami, a w środku tego muru żelazna furtka. Z za muru sterczą wieże kościołów i dachy kamienic. To miasto Lwów. Spyta kto może o mury, gdzie się podziały, że się ich teraz odszukać nie można?

— Wrogi nasze znieśli mury, gdy nam brakło swobody, gdy zabrakło króla własnego, co mieszkał w Krakowie lub w Warszawie. W Warszawie dziś moskal gospodaruje, a w Krakowie — w Krakowie w kaplicy zamkowej spoczywają koście naszych królów, a zamek królewski zajęli austryacy na koszary żołnierskie.

Historya właśnie tu opowiadana działa się za naszych lepszych czasów, kiedy Lwów był miastem obronnem, otoczonem murem, a nad narodem panował król Jan III Sobieski. Z jednej strony wały, rzeka, bagna i mury broniły Lwowa, z drugiej góra wysoka na której stał zamek murowany, z którego dziś już tylko kawałki sterczą, zaledwie ślad wskazując, gdzie dawniej silne gmachy się wznosiły.

W zamku na dole obszernym dziedziniec okolony stajniami, gdzie sto koni rżało przy żłobie gotowych na rozkazy Sobieskiego; część zamku zajęta przez wojsko, chłopcy dzielne żwawe, a poczciwe bo to nasze dzieci. Oby widzieć tylko swoich żołnierzy! Obcy wojak przychodzi zawsze jak na rabunek, wszystko przed nich schowaj, zawsze się go człowiek obawia, a choć karmi i poi, nigdy dla niego dosyć, zawsze chce więcej. I człowieka nie poszanuje, każe sobie usługiwać. Tylko swój ze swoim zgodzić się potrafi.

Król Jan Sobieski siedzi na zamku i wypatruje przez okno. Z okien zamkowych daleko widać rozległe pola i wioski rzucone po równinie. Ztyłu za górą schowane miasto i bokami obszernej doliny, ciągną się góry, niby umyślnie sypane wały. Król patrzy po dolinie, bo własnie otrzymał wiadomość że niezliczone wojsko Tatarów i Turków naszą ziemię najechało. Bogata nasza ziemia, wrogi ją obdarli. Turek którędy przejdzie rabuje wsie, zabiera bydło, morduje ludzi: a gdy już nic nie ma do wzięcia podpala próżne chaty i ciągnie dalej, jak moskal. Dowiedziawszy się o najściu Turka zmarszczył wysokie czoło waleczny Sobieski i posłał rozkaz do miasta, aby się natychmiast zebrało całe wojsko, a było we Lwowie wszystkiego sześć tysięcy kawaleryi i piechoty. Rozkaz królewski wykonano natychmiast: już nasze wojsko idzie pod górę zamkową.

Tymczasem na rozległych polach daleko na samym krańcu widnokręgu, tam gdzie niebo przychyla się do ziemi zaszarało niby występująca chmura. Nie chmura to była, lecz tłumy Tatarów i Turków; prosto na Lwów pędzą, a nie pytają czy droga czy rola, lecz prosto walą widząc przed sobą zamkową górę. Więc król Sobieski sprowadził wojsko na dolinę, na błoniach postawił konnicę, a był na prawo od zamku lasek

w wąwozie i droga przez lasek: tam król ponad drogą kazał strzelcom poza drzewami się poustawiać.

Wróg pędzi — prosto uderza na naszą konnicę. Dzielne wojaki trzymają się jak mur, a po pogańskich karkach tłuką niemiłosiernie. Mnóstwo pada Tatarstwa, ale jeszcze czem raz ich więcej przybywa, i cisną się na drogę do Lwowa przez ów lasek na prawo. Nasi strzelcy w sam środek ich wpuścili, a gdy już weszli, wtenczas ze wszystkich stron zaczęli strzelać. Nieprzyjaciele w popłochu sami się kaleczyli i tratowali, a nasi wypadłszy z za drzew dobijali i rąbali pałaszami i toporami.

Na pobojowisku zostało dziesięć tysięcy trupów Tureckich, a w owym lasku stosy się walały, tak że nawet nie można było przejść tamtędy, cała droga była zawaloną trupami!

Król Sobieski wrócił do Lwowa, a na miejscu, gdzie od naszych strzelców tylu nieprzyjaciół padło, założył wioskę, która do dzisiejszego dnia nazywa się Z n i e s i e n i e.

P. Z

Ż e l a z o.

Wielkie znaczenie żelaza, jakie mu przemysł nadaje, powoduje nas do uczynienia krótkiej o niem wzmianki.

Żelazo w stanie metalowym, z wyjątkiem meteorów, które nie są płodami ziemi, lecz spadają w kształcie ognistych kulek z powietrza, a oprócz żelaza zawierają w swym składzie i inne pierwiastki nie istnieje w naturze. Własność ta żelaza, iż się z gazami lub ciałami jak: kwasoród, węgloród, siarka, fosfor i t. p. łączy, i swój pierwiastek metalowy traci, była zapewne przyczyną, że dopiero po złocie, srebrze i miedzi, poznanem i ocenionem zostało. Okoliczność tę potwierdza to, że n. p. starożytni Egipcyanie około tysiąca lat przed narodzeniem Chrystusa żyjący, posiadali kopalnie złota, nie znaleziono jednak nigdy w zasypanych zwaliskach narzędzi żelaznych.

W czasie wojny trojańskiej walczono bronią zrobioną z miedzi lub bronzu, bo żelaza jeszcze nie znano. Rzymianie tylko jedni dawno już używali żelaza —

Od dwóch tysięcy lat prawie, wyrobnictwo żelazna nie uczyniło wielkiego postępu; dopiero w tem stuleciu, przybrało ono olbrzymie rozmiary, a zwłaszcza od czasu gdy poczęto zakładać koleje żelazne.

Nie ulega wątpliwości że tak wielkie wyrobnictwo i użycie żelaza stało się podstawą dobrobytu, potęgi i niepodległości ludów.

Ruda, czyli surowiec żelaza (to jest ziemia, w której się żelazo znajduje i z niej wydobywa,) jestto połączenie żelaza z kwasorodem i węglorodem, a im takowe mniej obcych zawiera żywiołów, tem łatwiejsze onego wydobywanie.

Do wytwarzania żelaza z rudy trza tęż rudę w kawałki drobne roztłuc. Robi się to w tak zwanych walcowniach umyślnemi do tegó maszynami. Następnie trza, aby z rudy czyste żelazo wydobyć, oddzielić wszystkie żelazne części rudy, jak n. p. części ulotne, wodę, siarkę i t. p. To się dokonywa przez rozpalenie rudy. W wielkich piecach, podobnych kształtem swym do wieży, układa się warstwami rudę, kładąc na przemian raz warstwę rudy, raz węgla, aż pod wierzch pieca.

Poczem się piec rozpala z pod spodu. Przez nadzwyczajne gorąco, oddzielają się powietrzne i inne części od rudy; żelazo oczyszczone staje się płynnem jak woda i dla ciężkości swej spływa na spód pieca, a następnie w rynny na ten cel z piasku sporządzone; żużel zaś pozostaje na powierzchni stężałego żelaza.

U nas są huty żelaza, lecz te na bardzo jeszcze niskim są stopniu mimo to, że bardzo wiele żelaza na narzędzia różne, maszyny, drogi żelazne potrzebujemy. Zawsze w stosunku do potrzeby naszego kraju, zbyt mało sztab żelaznych u nas się wyrabia.

Najznakomitszą w Europie na stałym lądzie jest huta i walcownia w Wasseralfingen (w Niemczech, w prowincyi Wirtemberg). Zatrudnia ta huta codziennie 1100 robotników. Zwiedzanie tejże jest każdemu dozwolone — każdy się może własnymi przypatrzyć oczyma, jak z niepozornej bryły ziemi wydobywa się metal, który nam codzień i wszędzie potrzebny, bez któregobyśmy się nawet obejść nie mogli.

Nowy sposób nauczania czytania.

Każdy z nas przypomina sobie z jakim trudem mu przychodziło wyuczyć się czytania i pisania, jak to długo i mozolnie nauczyciel nad nim pracował, zanim go zupełnie wyuczył. Szczęśliwy ten jeszcze, 'kto się w młodości wyuczył, kogo rodzice do szkółek posyłać mogli i posyłali — ale niejeden nie mógł skorzystać z dobrodziejstw, jakie nam czytanie daje, raz że rodzice nie byli w stanie lub nie chcieli go dać uczyć, raz że szkółki nie było we wsi; — otóż, moi kochani czytelnicy, bez liku i w mieście i po siołach jest ludu, co wzrósł i postarzał się, nie nauczywszy się czytania! Dla tych to ludzi, dla dorosłych nic nieumiejących wymyślono nowy sposób, za pomocą którego w krótkim bardzo czasie, bo w jednym miesiącu, każdy kto chce tylko, i pilnie na nauczyciela baczy, wyuczy się czytania, a dalej i pisania. Wymyślił tę metodę, t. j. sposób ten, pan M. J. Konstantynowicz, a że sam nie może wszędzie osobiście uczyć, przeto postanowia swoich zastępców po wsiach i miastach, którzy ludek nasz bezpłatnie uczą. Obecnie bawi pan Konstantynowicz w powiecie Wadowickim, w którym już dla 86 gmin postanowił nauczycieli i tychże swojego sposobu wyuczył. Ztąd kolejno zamierza przez cały kraj nasz przejść, nie pomijając żadnej wioski, żadnego miasteczka, za którą to ofiarę i trud jego niech mu Bóg nagrodzi. Obszerniej, tudzież o dalszym rozwoju tej nauki, donosić będziemy w następnych numerach.

Rozmaitości.

N o w a k s i ą ż k a. P. Aleksander Kisielewski, redaktor czasopisma Opiekun polskich dzieci, wychodzącego we Lwowie, wydał w czasie ostatnim dzieło pod tytułem: Palestyna i jej święte pamiątki. Książeczka ta o 4 arkuszach druku, ozdobiona jest licznemi i bardzo pięknemi obrazkami. Przeznaczona jest dla dzieci i napisana stylem przystępnym. Polecamy ją zatem jako dziełko, na nagrody dla pilnych i grzecznych dzieci.

P i j a k. Spowiadał ksiądz opoja i nauczając go, zagroził mu temi słowy: jeżeli się nie poprawisz, to w piekle gorący dziegieć pić będziesz. Wziął to sobie do serca opój i wstrzy-

mał się przez czas niejaki od trunków. Ale jak to zwykle natura ciągnie wilka do lasa, zaglądał i on czasem do karczmy i ślinkę tylko połykał, gdy drudzy pili i bawili się wesoło. Chciał nieraz złamać przyrzeczenie, ale diegieć gorący zawsze go niepokoił. Raz przecie coś go skusiło, pomyślał sobie, anu niech ja tego dziegciu cokolwiek skosztuję. Jak pomyślał, tak też zrobił, kazał sobie dać kieliszek dziegciu ciepłego, a zamrużywszy oczy — łyknął. Splunął, skrzywił się, ale po chwili minęła odraza. „Oho nie jest to tak zły dziegieć, jak to Dobrodziej straszyli, a zresztą człowiek się i do dziegciu przyzwyczai; dajcie no Moszku wódeczki, aby zalać robaka.“

Rolnik. Gospodarz pewny ciągle wzdychał, żeby to w jego mocy było spuszczać deszcze, jak by on się dobrze miał przy tem. Wysłuchał Bóg jego prośby i dał mu władzę nad deszczami. Uszczęśliwiony gospodarz orze, sieje, spuszcza deszcz kiedy chce, nareszcie przy końcu żniwa pokazało się, że daleko mniej zebrał, niżeli drudzy gospodarze. Skarży się Bogu że został oszukany Na to odpowiedział pan Bóg, a prosiłeś mię o rosę? Nie! Otoż widzisz nie mieszaj się do mego gospodarstwa.

Organista. Wartogłów jakiś uroił sobie, że on może być organistą. Idzie tedy do pewnego proboszcza i staje za organistę. Proboszcz przyjął go i kazał mu mszę zagrać. Wali tedy po klawiszach palcami ni w pięć, ni w dziewięć, organy huczą, lu, lu, lu, wo, wo. fiu, fiu, fiu! istny zrobił się chaos. Proboszcz ledwie mógł mszę odprawić. Przy końcu sam zaspiewał: Do ciebie Panie pokornie wołamy. Lecz i tej pieśni nie zagrał organista. Po mszy powiada proboszcz: Acan zle grasz, acan możesz sobie gdzie indziej służby szukać. — Ja dobrze gram — odpowiada organista obrażony. Jak to? wola proboszcz, nawet: Do ciebie Panie nie umiesz zagrać. Jakto? ja grałem do ciebie Panie, ale kalikancista, zakalikował mi: Gwiazdo morza, a to jeszcze o trzy tony niżej.

Żołnierz. Przyszedł żołnierz na kwaterę i prosi o jedzenie, ale gospodyni powiada, że niema nic dla niego. Filut pyta, czy niema siekiery przynajmniej, to ją sobie zgotuje bo mu się bardzo jeść chce. Baba ciekawa, jak on siekierę jeść będzie, daje mu siekierę, którą on w garnek włożył i gotuje. Nareszcie pyta, czy niema jakiej zakryszki do tego; pietruszki, marchwi lub kartofli, Baba daje zakryszki. Nareszcie prosi czy niema krup trochę. Baba daje krupy. Przy końcu pyta czy niema masła lub słoniny. Baba daje kawał słoniny. — Ugotował tedy doskonały krupnik, wysypał na miskę i zmiata. Baba patrzy, co będzie z siekierą. Dobył noża i chce krajać siekierę; twarda jeszcze, woźmu do tornistry, budu jeszcze raz waryty, i poszedł w dalszą drogę, a baba ślipie okropnie wybałuszyła.

Redaktor odpowiedzialny i wydawca Kazimierz Okaz. – Z drukarni E. Winiarza